Poul Anderson

Strzeż się, Ziemianinie!

(Earthman, Beware!)

Super Science Stories, June 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the novelette "Earthman, Beware!" by Poul Anderson.
First publication of this story: Super Science Stories, June 1951. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Gdy zbliżał się do domku, zdał sobie sprawę, że ktoś na niego czeka.

Zatrzymał się na chwilę, nachmurzony, i wysłał swoje postrzeganie do przodu, aby przeanalizować ten błysk informacji. Coś w jego mózgu drgnęło, odbierając wrażenie obecności metalu, pojawiły się również subtelniejsze akcenty jakichś związków organicznych – oleju, gumy i plastiku… odrzucił to wszystko, rozpoznając zwykły mały helikopter, i skoncentrował się na słabszych, szalenie ulotnych skrawkach myśli, energii układu nerwowego, przepływów życia pomiędzy komórkami i cząsteczkami. Była tam tylko jedna osoba, a ogólny zarys charakteryzujących ją danych pasował tylko do jednej możliwości.

Margaret.

Przez kolejną chwilę stał w miejscu, a główną emocją jaką odczuwał, był smutek. Potem poczuł irytację, być może również odrobinę subtelnej dezorientacji faktem, że jego kryjówka została ostatecznie odnaleziona. Ale przede wszystkim ogarnął go żal. Biedna Peggy. Biedny dzieciak.

No cóż – będzie musiał przez to przejść. Wyprostował swe szczupłe ramiona i ruszył dalej naprzód.

Otaczający go alaskański las był cichy i spokojny. Leciutki wieczorny wiaterek szeleścił ciemnymi sosnami i muskał mu policzki, chłodna samotna obecność w panującym dokoła bezruchu. Gdzieś ćwierkały moszczące się w gnieździe przed snem ptaki, a komary brzęczały wysokimi, cienkimi tonami, kłębiąc się na zewnątrz zaklętego kręgu tworzonego przez bezwonny repelent. Poza tym słychać było jedynie chrzęst jego kroków na podłożu z suchych igieł. Po dwóch latach ciszy, wibracje ludzkiej obecności brzmiały dla jego nerwów niczym ogromny krzyk.

Kiedy wyszedł na niewielką łączkę, słońce zachodziło już za północne wzgórza. Długie, padające pod ostrym kątem złociste promienie ścieliły się po trawie, otaczały czarodziejskim blaskiem prymitywną chatę, rzucając przed sobą ogromne cienie. Helikopter świecił w ciemnym lesie jaskrawym blaskiem odbitego od metalu światła, a on musiał podejść dość blisko, zanim jego oślepione oczy zdołały dostrzec kobietę.

Stała przed drzwiami chaty, czekając na niego, a zachód słońca zmienił jej włosy w czerwone złoto. Miała na sobie czerwony sweter i granatową spódnicę, tę samą którą nosiła, kiedy ostatnio się spotkali. Jej szczupłe ręce skrzyżowane były na piersiach. Tak samo czekała na niego już wielokrotnie wcześniej, kiedy wracał z laboratorium, cicha i spokojna jak posłuszne dziecko. Nigdy nie wylewała na niego pokładów swej żywiołowej energii, nie po tym gdy zauważyła kiedyś, że spływa ona z jego niezrozumiałego umysłu, jak deszcz spływa z wielkich sosen.

Uśmiechnął się krzywo.

— Witaj, Peggy — przywitał ją, czując kompletną nieadekwatność tych słów. Cóż jednak miał jej powiedzieć?

— Joel... — wyszeptała.

Widział jej zaskoczenie i czuł przepływający przez jej nerwy wstrząs. Jego uśmiech zrobił się jeszcze bardziej krzywy i skinął głową.

— Taaa — powiedział. — Przez całe życie byłem łysy jak jajo. Tutaj, nie było powodu aby używać peruki.

Jej szerokie, piwne oczy obszukiwały go badawczo. Miał na sobie leśne ubranie, koszulę w kratę, poplamione dżinsy i ciężkie buty, niósł długą wędkę, skrzynkę na sprzęt oraz sznur okoni. Ale w ogóle się nie zmienił. Drobne, smukłe ciało, delikatne, niezdradzające wieku rysy twarzy, świetliste ciemne oczy pod wysokim czołem, wszystko to wyglądało dokładnie tak samo jak kiedyś. Upływ czasu nie dotknął go w najmniejszym stopniu.

Nawet łysina wydawała się pasować do reszty, pozwalając na uwypuklenie silnego klasycznego łuku czaszki, zdzierając kolejną warstwę ze zwyczajności, za którą się skrył.

Zauważył, że mocno wychudła i nagle uśmiech stał się dla niego zbyt wielkim wysiłkiem.

— Jak mnie znalazłaś, Peggy? — spytał cicho.

Już po pierwszych jej słowach, jego umysł przeskoczył do odpowiedzi, ale pozwolił jej dokończyć.

— Kiedy cię nie było przez sześć miesięcy bez żadnych wieści, my – wszyscy twoi przyjaciele, o ile kiedykolwiek takich miałeś – zaczęliśmy się martwić. Myśleliśmy, że może coś ci się stało w Chinach. Zaczęliśmy więc badać sprawę z pomocą chińskiego rządu i wkrótce dowiedzieliśmy się, że w ogóle nigdy tam nie pojechałeś. Ta historia o badaniu chińskich stanowisk archeologicznych, to była zmyłka, zasłona dymna aby zyskać na czasie kiedy… zniknąłeś. Ja po prostu nadal szukałam, nawet po tym jak wszyscy się już poddali, i wreszcie przyszła mi do głowy Alaska. W Nome doszły do mnie pogłoski o dziwnym i nieprzyjaznym mieszkańcu leśnej głuszy, a więc przyleciałam tutaj.

— Czy nie mogłaś po prostu pozwolić mi odejść? — zapytał ze znużeniem.

— Nie. — Jej głos drżał, tak samo jak wargi. — Nie, dopóki nie wiedziałam na pewno co się stało, Joel. Dopóki nie dowiedziałam się, że jesteś bezpieczny i… i…

Pocałował ją, smakując sól na jej ustach, czując leciutki zapach jej włosów. Skłębione fale jej myśli i emocji spłynęły na niego, wirując w jego głowie w napływie samotności i opuszczenia.

Nagle wiedział już dokładnie, co się wydarzy, co powinien jej powiedzieć oraz odpowiedzi, jakie od niej usłyszy – przewidział to, niemalże co do słowa, a próżny charakter tego całego procesu przyciskał jego umysł ołowianym ciężarem. Jednak musiał przez to przejść, każda rozdzierająca sylaba musiała zostać wypowiedziana. Ludzie już tacy byli, brnęli przez mroki samotności, wołając się do siebie nawzajem ponad otchłanią i nigdy, nigdy się nie rozumiejąc.

— To było miłe z twojej strony — zaczął niezgrabnie. — Nie powinnaś tego robić, Peggy, ale to było... — Jego głos ucichł, a wizja się rozwiała. Nie potrafił znaleźć słów, które nie byłyby banalne i pozbawione znaczenia.

— Nic nie mogłam na to poradzić — wyszeptała. — Wiesz przecież, że cię kocham.

— Posłuchaj, Peggy — oznajmił. — To nie może trwać dalej. Będziemy musieli teraz to zakończyć. Kiedy powiem ci, kim jestem i dlaczego uciekłem... — Próbował zmusić się do wesołego tonu. — Ale nie powinno ciągnąć się takiej emocjonalnej sceny o pustym żołądku. Wejdź, a ja usmażę te ryby.

— Ja to zrobię — odparła ze swym dawnym duchem. — Jestem lepszym kucharzem niż ty.

To ją z pewnością zaboli, ale:

— Obawiam się, że nie potrafiłabyś użyć mojego sprzętu, Peggy.

Wysłał sygnał do drzwi, a te się przed nim otworzyły. Kiedy weszła do środka, zobaczył, że jej twarz i ręce są czerwone od ukąszeń komarów. Musiała czekać przez dłuższy czas, aż wróci do domu.

— Szkoda, że przyszłaś akurat dzisiaj — powiedział desperacko. — Zazwyczaj pracuję tutaj. Po prostu akurat dzisiaj wziąłem sobie wolne.

Nie odpowiedziała mu. Jej wzrok wędrował po domku, próbując znaleźć jakiś ogromny porządek, który wiedziała że musi leżeć u podstaw tego chaosu materialnego.

Obłożył domek od zewnątrz kłodami i gontami, aby zamaskować go jako zwykłą szopę. Wewnątrz równie dobrze mogłoby to być jego laboratorium w Cambridge, i rozpoznawała nawet niektóre z urządzeń. Wypełnił nimi cały samolot, przed odlotem. Dodatkowo mnóstwo innych rzeczy, których nie pamiętała, wytworów jego rąk w czasie dwu samotnych lat, dżungla kabli, rur, liczników oraz mniej zrozumiałej aparatury. Niewielka tylko jej część miała prymitywny wygląd niedokończonych, eksperymentalnych konstrukcji. Pracował nad jakimś własnym, ogromnym projektem i teraz musi być blisko jego zakończenia.

Ale co potem?

Szary kot, który był jego jedynym prawdziwym towarzyszem, nawet w Cambridge, ocierał się jej o nogi, z miauczeniem, które mogło oznaczać że ją rozpoznał. *Bardziej przyjazne powitanie, niż z jego strony*, pomyślała gorzko, a potem, czując na sobie jego poważne spojrzenie, zarumieniła się. To było niesprawiedliwe. Wyrywała go z jego dobrowolnej samotności, a on zachowywał się w tej sytuacji bardziej niż przyzwoicie.

Przyzwoicie – ale nie po ludzku. Żaden ludzki, wolny samiec, nie mógłby przyjąć pogoni na koniec świata za nim przez atrakcyjną kobietę, nie czując czegoś więcej niż tylko spokojny żal i litość, które on okazywał.

A może czuł także coś innego? Nigdy się tego nie dowie. Nikt nigdy nie dowie się tego, co dzieje się w tej pięknej głowie. Reszta ludzkości miała zbyt mało wspólnego z Joelem Weatherfieldem.

— Reszta ludzkości? — zapytał delikatnie.

Drgnęła zaskoczona. Ta jego stara sztuczka z czytaniem myśli, wystarczało to aby zrazić do niego większość ludzi. Człowiek nigdy nie

wiedział, kiedy z nią wyskoczy, ani ile z tego było zgadywanką opartą na transcendentnej logice, a ile było… było…

Skinął głową.

— Mam częściowe zdolności telepatyczne — powiedział — i potrafię wypełnić sobie brakujące luki – jak Dupin Poego, tylko lepiej i łatwiej. Są z tym związane jeszcze inne kwestie – ale zostawmy to teraz. Później.

Wrzucił ryby do jakiejś szafki i ustawił kilka pokręteł na jej przedzie.

— Kolacja już się robi — powiedział.

— A więc, teraz wymyśliłeś robota-kucharza — powiedziała.

— Oszczędza mi pracy.

— Gdybyś wprowadził go na rynek, mógłbyś zarobić kolejne miliony dolarów.

— Po co? Już teraz mam więcej pieniędzy niż potrzeba jakakolwiek rozsądnej istocie.

— No wiesz, oszczędziłbyś ludziom wiele czasu.

Wzruszył ramionami.

Zajrzała do mniejszego pokoju, w którym musiał mieszkać. Był skromnie umeblowany, łóżko, biurko i parę półek na których trzymał swoją ogromną bibliotekę mikrodruków. W jednym z rogów stał wielotonowy instrument, przy jego pomocy komponował własną muzykę, której nikt nigdy nie lubił ani nie rozumiał. Ale on również zawsze uważał muzykę ludzkości za płytką i bezcelową. Podobnie jak ludzką sztukę, ludzką literaturę i wszystkie inne dzieła i życie ludzi.

— Jak tam idzie Langtree’emu z tym jego nowym encefalografem? — zapytał, choć bez trudu mógłby odgadnąć odpowiedź. — Pamiętam, że miałaś zamiar mu przy nim pomagać.

— Nie wiem. — Zastanawiała się, czy w jej głosie słychać przepełniające ją zmęczenie. — Cały swój czas poświęciłam na poszukiwania Joela.

Skrzywił się z bólu i odwrócił się do automatycznego kucharza. Jego drzwiczki właśnie się otworzyły i ze środka wysunęła się taca z dwoma talerzami. Postawił je na stole i wskazał na krzesła.

— Siadaj, Peggy.

Wbrew niej samej, maszyna ją zafascynowała.

— Żeby tak szybko gotować, musisz mieć tam płytę indukcyjną — mruknęła, — i, jak przypuszczam, ziemniaki i warzywa przechowywane są w środku. Ale części mechaniczne...

Pokręciła głową w bezradnym zdziwieniu, zdając sobie sprawę, że schemat urządzenia ujawniłby jakieś zupełnie proste rozwiązanie wymagające jedynie geniuszu.

Z innej szafki wyciągnął zroszone puszki piwa. Uśmiechnął się i wzniósł toast.

— Największe osiągnięcie ludzkości. Skoal.

Nie zdawała sobie sprawy, że jest taka głodna. On jadł wolniej, obserwując ją i myśląc o tym jak bardzo nie pasują do siebie dr Margaret Logan z MIT, okonie i piwo w zakopanym w lasach Alaski domku.

Może powinien polecieć na Marsa lub satelitę którejś z planet zewnętrznych. Ale nie, to wiązałoby się z pozostawieniem wszystkim

znacznie wyraźniejszego śladu – nie da się wyruszyć w lot statkiem kosmicznym w tak niezwracający na siebie uwagi sposób, jak można wyjechać do Chin. Jeśli już ktoś musiał go odnaleźć, to wolał, że zrobiła to ona. Ona zachowa jego tajemnicę z nieugiętą lojalnością, którą miał okazję już poznać.

Zawsze była dobra w rozglądaniu się wokół siebie, od czasu gdy spotkał ją, podczas współpracy z MIT przy ich najnowszych pracach cybernetycznych. Dwudziestoczteroletni doktorzy z błyskotliwymi osiągnieciami, byli raczej rzadkością – a jeżeli były to w dodatku atrakcyjne młode kobiety, należało mówić tu o unikacie. Oczywiście Langtree był w niej beznadziejnie zakochany. Ona jednak podjęła podwójny program prac, oprócz zwykłych obowiązków pomagając Weatherfieldowi w jego prywatnych laboratoriach – i planowała zakończyć te pierwsze natychmiast po wygaśnięciu jej kontraktu. Była dla niego bardziej niż użyteczna, a on nie był ślepy na jej wygląd, ale był to podziw tego samego rodzaju, jaki miał dla krajobrazów, rasowych kotów i otwartych przestrzeni. No i była jednym z niewielu ludzi, z którymi w ogóle mógł rozmawiać.

Była. Wyczerpał jej możliwości w ciągu roku, podczas gdy większość ludzi wysysał w miesiąc. Potrafił już powiedzieć, jak zareaguje na każdą sytuację, co odpowie na każdą jego uwagę, znał jej uczucia z wyczuloną percepcją wykraczającą nawet poza jej wiedzę. I powróciła samotność.

Jednak nie spodziewał się, że ona go odnajdzie, pomyślał kwaśno. Po zaplanowaniu swej ucieczki, nie dbał aby – albo nie śmiał – prześledzić jej wszystkie logiczne konsekwencje. Cóż, teraz z pewnością przyjdzie mu za to zapłacić, podobnie jak i jej.

* * * *

Posprzątał ze stołu i, zanim zaczęli rozmawiać, postawił na nim kawę oraz papierosy. Ciemność przesłoniła okna, ale automatycznie włączyły się jego fluorolampy. Usłyszała odległe wycie wilka w mrokach nocy i pomyślała sobie, że las jest dla niej mniej obcy niż ten pokój pełen dziwnych maszyn i człowiek, który siedzi spoglądając na nią tym swoim zbyt mądrym spojrzeniem.

Rozsiadł się w wygodnym fotelu, a szary kot wskoczył mu na kolana i leżał mrucząc, podczas gdy cienkie palce mężczyzny głaskały go po futrze. Podeszła i usiadła na stołku u jego stóp, kładąc mu rękę na kolanie. Nie było sensu tłumić impulsów, kiedy z których zdawał sobie sprawę, zanim jeszcze ona sama je sobie uświadomiła.

Joel westchnął.

— Peggy — powiedział powoli — popełniasz cholerny błąd.

Pomyślała przez chwilę, jak banalne są jego słowa, a potem przypomniało jej się, że zawsze brakowało mu zręczności w rozmowie. Wyglądało to tak, jakby nie wyczuwał wszystkich zwykłych ludzkich niuansów i musiał szukać własnej drogi przedarcia się przez społeczne konwenanse, przy pomocy jakiegoś nieco mechanicznego rytuału.

Pokiwał głową.

— Zgadza się — powiedział.

— Ale co się z tobą dzieje? — rozpaczliwie zaprotestowała. — Wiem, że wszyscy nazywali cię „zimną rybą”, „ciężkim mózgiem” i „chodzącą lampą elektronową”, ale jest inaczej. Wiem, że czujesz więcej niż ktokolwiek z nas, tylko… tylko…

— Tylko, nie w ten sam sposób — dokończył łagodnie.

— Och, ty zawsze byłeś dziwny — ponuro stwierdziła. — Cudowny chłopiec, czy nie tak? Ciemny farmer, który poszedł na Harvard w wieku trzynastu lat i ukończył studia ze wszystkimi nagrodami jakie mogli mu przyznać, w wieku piętnastu lat. Wynalazca napędu jonowego dla statków kosmicznych, procesu kontrolowanej dezintegracji jonów, lekarstwa na zwykłe przeziębienie, określania wieku geologicznego poprzez strukturę krystaliczną, i tylko Bóg oraz urząd patentowy wie, jeszcze czego. Laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki za relatywistyczną mechanikę falową. Pionier w zupełnie nowej gałęzi matematycznej teorii szeregów. Genialny autor książek na temat archeologii, ekonomii, ekologii i semantyki. Założyciel całych nowych szkół w malarstwie i poezji. Jakie jest twoje IQ, Joel?

— A skąd ja mam wiedzieć? Powyżej poziomu 200, iloraz inteligencji w zwykłym tego słowa znaczeniu staje się nieznaczący. Byłem dość głupi, Peggy. Większość moich opublikowanych prac powstała w wieku młodzieńczym, spowodowana dziecinnym pragnieniem poklasku i uznania. Później, nie mogłem już tak po prostu przestać – warunki na to nie pozwalały, no i oczywiście musiałem coś robić ze swoim czasem.

— Potem, w wieku trzydziestu lat, pakujesz się i znikasz. Dlaczego?

— Miałem nadzieję, że wszyscy sobie pomyślą, że nie żyję — mruknął. — Przygotowałem na Gobi ślady pięknego lipnego wypadku, ale zdaje się, że nikt ich po prostu nie znalazł. Ponieważ biedni lojalni głupcy, tacy jak ty, najzwyczajniej w świecie nie wierzyli że mogłem umrzeć. Nigdy nie przyszło ci do głowy, aby zacząć szukać moich szczątków. — Jego dłoń przesunęła się lekko po jej włosach. Westchnęła i oparła głowę na jego kolanie. — Powinienem to przewidzieć.

— Dlaczego, do diabła, musiałam zakochać się w takim głąbie jak ty, chyba nigdy się tego nie dowiem — powiedziała w końcu. — Większość kobiet uciekała od ciebie z wrzaskiem. Nawet twoje pieniądze nie potrafiły ich zatrzymać. — Odpowiedziała na swoje pytanie z precyzją wskazującą na długie rozmyślania. — Przypuszczam, że chodzi tutaj o twój geniusz. Po tobie wszyscy inni stali się tacy banalni i mdli. — Podniosła na niego wzrok i nagle w jej oczach pojawiło się przerażenie. — I właśnie z tego powodu ty również nigdy się nie ożeniłeś? — wyszeptała.

Pokiwał głową ze współczuciem. Potem, powoli, dodał:

— Jeszcze nie jestem za bardzo zainteresowany seksem. Wiesz, ja wciąż jestem na etapie wczesnej młodości.

— Nie, nie wiem.

Nie poruszyła się, ale poczuł, że sztywnieje, opierając się o niego.

— Ja nie jestem człowiekiem — powiedział cicho Joel Weatherfield.

— Mutant? Nie, to niemożliwe.

Wyczuwał przepełniające ją napięcie, gwałtowny zalew szalonych myśli i pozbawionych słów prądów nerwowych, pulsowanie krwi, gdy endokrynina szukała równowagi na wysokim, powodującym napięcie, poziomie zagrożenia. Był to pradawny instynktowny lęk przed ciemnością, nieznanym i czymś strasznym, czającym się poza migotliwym kręgiem ognia – czekała bez ruchu, ale zmieniła się w zjeżone w panice zwierzę.

Powrócił jej spokój, po tym jak przez jakiś czas po prostu siedział, głaszcząc ją po włosach. Znowu patrzyła na niego, zmuszając się by spojrzeć mu w oczy.

Uśmiechnął się tak pogodnie, jak tylko mógł, i powiedział:

— Nie, nie, Peggy, to wszystko nie mogłoby być skutkiem tylko jakiejś pojedynczej mutacji. Znaleziono mnie na polu zboża, pewnego letniego poranka trzydzieści lat temu. Kobieta… która musiała być moją matką, leżała obok mnie. Opowiadano mi później, że fizycznie była podobnego typu co ja, i ten fakt oraz dziwne opalizujące szaty które miała na sobie, sprawiły że myśleli, iż jest jakimś cyrkowym dziwadłem. Była jednak martwa, popalona i porozdzierana przez energię przed którą osłaniała mnie swym ciałem. Dokoła leżało jeszcze tylko kilka fragmentów jakiegoś kryształu. Ludzie zabrali ją i pogrzebali.

— Weatherfieldsowie byli miejscową parą starszych ludzi, bezdzietną i życzliwą. Byłem tylko dzieckiem i wzięli mnie do siebie. Fizycznie rosłem dosyć wolno, ale pod względem umysłowym, była to już oczywiście zupełnie inna historia. Pomimo mego dziwnego wyglądu byli ze mnie bardzo dumni. Wkrótce znalazłem dla siebie idealny tupecik, żeby zakryć swoją łysinę, i dzięki temu oraz zwyczajnym ubraniom mogłem uchodzić za człowieka. Ale pewnie sama pamiętasz, że nigdy nie pozwoliłem aby ktokolwiek zobaczył mnie bez koszuli i spodni.

— Naturalnie, szybko się zorientowałem, jak musi wyglądać prawda. Gdzieś we wszechświecie istnieje rasa, humanoidalna, ale znacznie wyprzedzająca ludzkość w rozwoju, która potrafi podróżować między gwiazdami. W jakiś sposób moja matka i ja staliśmy się rozbitkami na tej pustynnej planecie, i wobec ogromu wszechświata nasi poszukiwacze nigdy nas nie odnaleźli.

Zapadł w milczenie. Wkrótce Margaret wyszeptała:

— Joelu, jak bardzo… ludzki… jesteś?

— Nie za bardzo — powiedział z błyskiem starego, szczerego uśmiechu, który pamiętała z przeszłości. Jakże często widziała, jak podnosi wzrok znad jakiejś roboty, która szła mu wyjątkowo dobrze i rzucał jej takie właśnie spojrzenie! — Chodź, pokażę ci.

Gwizdnął, i kot zeskoczył mu z kolan. Kolejny gwizd i zwierzę było już po drugiej stronie pokoju, trącając łapą jakiś przełącznik na kolejnej z szafek. Wysunęło się z niej kilka dużych płytek, które kot przyniósł w pysku. Margaret wzdrygnęła się.

— Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś wytresował kota tak, by biegał mu na posyłki.

— To dosyć wyjątkowy kot — odparł z roztargnieniem i nachylił się, aby pokazać jej płytki. — To są moje zdjęcia rentgenowskie. Znasz moją technikę fotografowania różnych warstw tkanek? Opracowałem ją tylko po

to, żeby studiować siebie samego. Przyznaję się również do ekshumacji kości mojej matki, ale okazały się one po prostu kobiecą wersją moich własnych. Jednakże pewna odmiana mojej metody analizy struktury krystalicznej wykazała, że miała ona co najmniej pięćset lat.

— Pięćset lat!

Skinął głową.

— To jeden z kilku powodów, dla których jestem pewien, że jestem bardzo młodym członkiem swej rasy. Nawiasem mówiąc, jej kości nie wykazywały oznak poważnego wieku, odpowiadały mniej więcej dwudziestopięcioletniemu człowiekowi. Nie wiem, czy naturalna długość życia osobników tej rasy jest tak duża, czy też mają jakieś sztuczne środki hamowania starości, ale wiem że mogę się spodziewać przynajmniej połowy tysiąca lat życia na Ziemi, a Ziemia wydaje się mieć wyższą grawitację niż nasz świat macierzysty; nie jest ona dla mnie zbyt zdrowym miejscem.

Była za bardzo oszołomiona, aby zrobić coś więcej niż tylko skinąć głową. Przesunął palcem po płytkach rentgenowskich.

— Różnice w budowie szkieletu nie są zbyt wielkie, ale spójrz tylko tutaj i tutaj – na stopę i kręgosłup… Kości czaszki są szczególnie dziwne… No i, organy wewnętrzne. Sama na własne oczy możesz zobaczyć, że żaden człowiek nigdy nie miał...

— Podwójne serce? — spytała ponuro.

— W pewnym sensie. To pojedynczy organ, ale ma większą liczbę funkcji, niż ludzkie serce. Zostawmy to, najważniejsza jest struktura nerwowa. Tutaj widzisz kilka zdjęć mojego mózgu, wykonanych na różnych głębokościach i pod różnymi kątami.

Stłumiła sapnięcie. Jej prace nad encefalografią wymagały dobrej znajomości anatomii mózgu. Żaden człowiek nie mógłby mieć w swojej głowie czegoś takiego.

Mózg nie był specjalnie większy niż u człowieka. Lepsza organizacja, pomyślała; rodacy Joela nigdy nie zwariują. Były znaczne analogie, mocno poskręcana kora, rdzeń, reszta. Ale widać było też części zupełnie odmienne i narośla, które nie miały swego odpowiednika u ludzi.

— Do czego one służą? — zapytała.

— Nie jestem pewien — odpowiedział powoli, z lekkim niesmakiem. — To tutaj, mógłbym chyba nazwać czymś w rodzaju ośrodka telepatii. Jest wrażliwy na prądy nerwowe przepływające w innych organizmach. Porównując reakcje i słowa ludzi, z emanacjami które jestem w stanie wykryć, uzyskałem bardzo ograniczony stopień telepatii. Mogę także emitować, lecz ponieważ żaden człowiek nie jest w stanie tego odebrać, bardzo niewiele używałem tej mocy. Tamto zaś wydaje się służyć do celowej kontroli nad normalnie mimowolnymi funkcjami – do blokowania bólu, regulacji hormonalnej itd. – ale nigdy nie nauczyłem się tego skutecznie używać i nie ośmielam się eksperymentować na sobie samym. Są jeszcze inne ośrodki – większość z nich nawet nie wiem do czego może służyć.

Uśmiechnął się ze zmęczeniem.

— Słyszałaś o zdziczałych dzieciach – sporadycznych przypadkach ludzkich dzieci wychowywanych przez zwierzęta? Nigdy nie nauczą się mówić, ani realizować żadnych specyficznie ludzkich zdolności, chyba że zostaną schwytane i nauczone tego przez ludzi. Prawdę mówiąc, to one wcale nie są ludźmi. Ja jestem takim zdziczałym dzieckiem, Peggy.

Zaczęła płakać, głęboki szloch, wstrząsał nią jak dłoń jakiegoś olbrzyma. Przytrzymał ją w ramionach aż się nieco uspokoiła i znów siedziała koło jego kolana z powoli spływającymi po policzkach łzami. Jej głos zmienił się w drżący szept:

— Och, mój drogi, mój drogi, jak bardzo musiałeś być samotny…

* * * *

Samotny? Żadna ludzka istota nigdy się nie dowie, jak bardzo był samotny.

Na początku, jeszcze nie było tak źle. Jako dziecko był za bardzo zaabsorbowany i zachwycony poszerzaniem swych horyzontów intelektualnych, aby troszczyć się o to, że inne dzieci go nudziły – a one z kolei nie lubiły Joela za jego dziwność i dystans, który nazywali „wymądrzaniem się". Przybrani rodzice wkrótce zorientowali się, że normalne standardy jego nie dotyczą, trzymali go z dala od szkoły i kupowali mu książki i sprzęt, którego potrzebował. Mogli sobie na to pozwolić; w wieku sześciu lat opatentował pod nazwiskiem starych Weatherfieldów modyfikacje maszyn rolniczych, które uczyniły rodzinę bardziej niż zamożnymi. Zawsze był „dobrym chłopcem", na ile był w stanie. Nie mieli powodów, aby żałować jego adopcji, ale żałośnie przypominało to sytuację, w której kura która wysiedziała kaczęta patrzy, jak one powoli od niej odpływają.

Lata na Harvardzie były czystym rajem, orgią nauki, rozmów i przyjaźni z wielkimi ludźmi, którzy potrafili zobaczyć równego sobie w poważnym dziecku. Wtedy również nie miał normalnego życia społecznego, ale nie tęsknił za nim, studenci byli głupi i odrobinę przerażający. Wkrótce nauczył się unikać większego rozgłosu – w końcu dziecięcy geniusze nie byli tak zupełnie nieznanym zjawiskiem. Jego jedynym prawdziwym kłopotem był psychiatra, który uparł się żeby był bardziej „normalny". Uśmiechnął się w duchu, kiedy przypomniał sobie dosyć diabelskie sposoby, przy pomocy których w końcu odstraszył tego człowieka, aby zostawił go w spokoju.

Pod koniec jednak, odkrył ograniczenia takiego życia. Siedzenie na wykładach dotyczących oczywistych tematów i wykonywanie zadań, które były wykonywane już tysiące razy wcześniej, zaczęło mu się wydawać zupełnie bezsensownym. Zaczął uważać swoich profesorów za odrobinę nudnych, coraz częściej potrafił przewidzieć ich odpowiedzi na swoje pytania oraz uwagi, a odpowiedzi te stawały się coraz bardziej banalne.

Od dawna już zdawał sobie sprawę z tego, jaka musi być jego prawdziwa natura, chociaż miał na tyle zdrowego rozsądku, aby z nikim

się nie dzielić tymi informacjami. Teraz zaczęło w nim narastać marzenie, by odnaleźć swoich rodaków!

Jaki był sens tego wszystkiego co zrobił, skoro ich dzieci musiały bawić się tymi samymi siłami jak zabawkami, skoro jego największe odkrycia były dla tej cywilizacji czymś tak antycznym jak ogień dla ludzkości? Jak mógł być dumny ze swych dokonań, skoro żadne z tych bezrozumnych zwierząt, które je obserwowały, nie mogło powiedzieć „Dobra robota!", tak jak to być powinno? Jakie partnerstwo mogło istnieć ze ślepymi i głupimi stworzeniami, które wkrótce stały się dla niego tak przewidywalne jak budowane przez niego maszyny. Z kim mógł tutaj myśleć?

Rzucił się szaleńczo w wir pracy, z prostym celem: aby zarabiać pieniądze. To nie było trudne. W ciągu pięciu lat został multimilionerem, posiadającym tłum agentów uwalniających go od wszelkich zmartwień i odpowiedzialności, aby miał swobodę robienia tego co chciał. Aby mógł pracować dla swej przyszłej ucieczki.

Jak nudnym, nędznym, lichym i jałowym
Zda mi się cały obrót tego świata![1]

Ale nie każdego świata! Gdzieś, gdzieś w kosmosie pośród mrowia gwiazd…

Długa noc nadal trwała.

— Dlaczego tutaj przyjechałeś? — zapytała Margaret. Jej głos był w tej chwili cichy, przytłumiony beznadziejnością.

— Chciałem zachować tajemnicę. A społeczeństwo ludzkie stało się czymś, czego już nie mogłem znieść.

Skrzywiła się, a potem:

— Znalazłeś jakiś sposób na zbudowanie statku kosmicznego szybszego od światła?

— Nie. Nic, co kiedykolwiek odkryłem, nie wskazuje sposobu obejścia ograniczenia Einsteina. Musi istnieć jakieś rozwiązanie tego problemu, ale ja po prostu nie mogę go znaleźć. Nie jest to specjalnie zaskakujące, naprawdę. Ludzkie zdziczałe dziecko prawdopodobnie nigdy nie byłoby w stanie zduplikować pływających po morzach statków.

— No to, jaki masz pomysł na wydostanie się z Układu Słonecznego?

— Myślałem o statku kosmicznym sterowanym przez robota, lecącym od gwiazdy do gwiazdy, ze mną w stanie zawieszonego życia. — Mówił o tym tak swobodnie, jak człowiek opisywałby na przykład schemat naprawy nieszczelnego kranu. — Ale to byłoby kompletnie niepraktyczne. Moi współrodacy nie mogą żyć nigdzie w pobliżu, inaczej mielibyśmy znacznie więcej wskazówek ich istnienia, niż jeden rozbity statek. Może w ogóle nie żyją w tej galaktyce. Zostawiłem sobie ten pomysł jako ostatnie wyjście.

— Ale ty i twoja matka musieliście dotrzeć tu na jakimś statku. Czy niczego nie odnaleziono?

— Tylko tych kilka szklistych odłamków, o których wspomniałem. To wszystko skłania mnie do zastanowienia, czy w ogóle moi rodacy używają

[1] William Shakespeare, Hamlet, akt I, scena druga, tłum. Józef Paszkowski.

statków kosmicznych. Może wykorzystują coś w rodzaju transmitera materii. Nie, moją główną nadzieją jest wysłanie jakiegoś sygnału alarmowego, który ściągnie tutaj pomoc.

— Ale jeśli żyją tak wiele lat świetlnych od nas…

— Odkryłem dziwny rodzaj… no cóż, można to określić promieniowaniem, chociaż nie ma ono związku ze spektrum elektromagnetycznym. Wibrujące w pewien określony sposób pola energii mogą wytwarzać wykrywalne efekty w podobnym układzie odpowiednio usuniętym z pierwszego. W przybliżeniu jest to coś analogicznego do dawnych nadajników radiowych z iskrownikiem. Istotne jest, że te efekty przenoszone są bez żadnego mierzalnego opóźnienia i nie zanikają wraz z odległością.

W dawnych czasach zapłonęłaby zdziwieniem. Teraz tylko zwyczajnie skinęła głową.

— Rozumiem. To coś w rodzaju ultrafali. Ale jeśli nie ma efektów czasowych ani odległościowych, jak można ją prześledzić? Byłaby ona całkowicie niekierunkowa, chyba że można byłoby ją przesłać jako wiązkę.

— Nie potrafię tego zrobić – jeszcze. Ale zarejestrowałem wzór impulsów, które mają odpowiadać układowi gwiazd w tej części galaktyki. Każdy impuls oznacza gwiazdę, jego intensywność jej jasność absolutną, a czas rozdzielający go od innych impulsów, jej odległość od innych gwiazd.

— Ale to jest reprezentacja jednowymiarowa, a przestrzeń jest trójwymiarowa.

— Wiem. To nie jest aż tak proste, jak ci powiedziałem. Zagadnienie takiej reprezentacji było interesującym problemem z zakresu topologii stosowanej – jego rozwiązanie zabrało mi dobry tydzień. Jeśli interesuje cię matematyka tego rozwiązania, mam gdzieś swoje notatki… W każdym razie moi rodacy, kiedy wykryją te impulsy, powinni być w stanie łatwo wydedukować to, co próbuję im przekazać. Umieściłem Sol na początku każdej serii impulsów, będą więc nawet wiedzieć, o którą konkretną gwiazdę chodzi. Przynajmniej, we wszechświecie może istnieć jedna lub dwie konfiguracji dokładnie takie jak ta wysyłana, dałem im więc całkiem niezły namiar. Zbudowałem aparat do automatycznego nadawania mojej wiadomości. Teraz mogę już tylko czekać.

— Jak długo już czekasz?”

Skrzywił się.

— Obecnie, już dobry rok – i beż śladu żadnej odpowiedzi. Zaczynam się martwić. Może powinienem spróbować czegoś innego.

— Może oni w ogóle nie używają twoich ultrafal. Dla ich cywilizacji mogą być czymś mocno przestarzałym.

Pokiwał głową.

— Może tak być. Ale co innego mi pozostaje?

Milczała.

Po chwili Joel poruszył się i westchnął.

— I to jest cała historia, Peggy

Bez słowa skinęła głową.

— Nie lituj się nade mną — powiedział. — Dobrze sobie radzę. Moje badania tutaj są interesujące, lubię ten kraj, jestem taki szczęśliwy jak nie byłem już od bardzo dawna.

— To niewiele mówi, jak się obawiam — odparła.

— Nie, ale… Posłuchaj, Peggy, teraz już wiesz kim jestem. Potworem. Bardziej dla ciebie obcym, niż małpa. Nie powinnaś mieć trudności, żeby o mnie zapomnieć.

— Większe niż myślisz, Joel. Kocham cię. Zawsze będę cię kochać

— Ale ... Peggy, to śmieszne. Przypuśćmy, że wróciłbym, żeby żyć z tobą. Nigdy nie moglibyśmy mieć dzieci... chociaż przypuszczam, że to nie ma większego znaczenia. Jednak, nie mielibyśmy nic wspólnego ze sobą. Zupełnie nic. Nie mogliśmy rozmawiać, nie moglibyśmy dzielić się milionami małych rzeczy, które tworzą małżeństwo, niemal w ogóle nie moglibyśmy razem pracować. Ja, nie jestem w stanie już żyć w społeczeństwie ludzkim, wkrótce straciłabyś wszystkich przyjaciół, stałabyś się tak samo samotna jak ja. W końcu zaczęłabyś się starzeć, twoje siły nikłyby i zamierały, a ja wciąż zbliżałbym się dopiero do progu dojrzałości. Peggy, żadne z nas by tego nie wytrzymało.

— Wiem.

— Langtree to wspaniały człowiek. Łatwo byłoby ci go pokochać. Nie masz prawa, by pozbawiać swoją rasę tak wspaniałych cech dziedzicznych, jak twoje.

— Być może masz rację.

Wsunął dłoń pod jej podbródek i nachylił jej twarz do swojej.

— Mam pewną władzę nad umysłem — powiedział powoli. — Przy twojej współpracy mógłbym dostosować twoje odczucia w stosunku do niego.

Odwróciła się od niego w napięciu, jej oczy były szeroko otwarte i przerażone.

— Nie…

— Nie bądź głupia. Zrobilibyśmy teraz tylko to, co z czasem i tak by się stało. — Jego uśmiech był zmęczony, krzywy. — Peggy, ja jestem naprawdę osobą niesamowicie łatwą do zapomnienia.

Jego wola była zbyt silna, aby mogła mu się oprzeć. Promieniowała z niego, z jego lśniących oczu i delikatnie rzeźbionych rysów twarzy, które były niemal ludzkie; pulsowała potężnymi hipnotycznymi falami z jego telepatycznego mózgu i wydawała się niemal wypływać z cienkich rąk. Niemożliwe do odparcia, nie dające się odepchnąć – poddaj się, zrezygnuj, zaśnij. Była taka zmęczona.

W końcu skinęła głową. Joel uśmiechnął się swym dawnym uśmiechem, który tak dobrze znała. Zaczął mówić.

Nigdy nie mogła sobie później przypomnieć reszty tej nocy, z wyjątkiem rozmywającego się, na wpół świadomego, miękkiego głosu, który szeptał jej coś do głowy, oraz twarzy niewyraźnie widocznej przez falujące mgły. Kiedyś przypomniała sobie tylko, że była tam jakaś maszyna, która klikała i brzęczała, oraz jakieś malutkie światełka migocące i wirujące w ciemności. Jej pamięć została przemieszana, kipiała jak wrząca woda, rzeczy których nie pamiętała przez większą część swego

życia, teraz wynurzyły się na powierzchnię. Wydawało się jej, jakby koło niej stała jej matka.

Po nadejściu niewyraźnego zamglonego świtu, pozwolił jej odejść. Przepełniał ją głęboki, nieludzki spokój, spoglądała na niego pustym, oderwanym od rzeczywistości wzrokiem, a jej głos był jednostajny i miarowy. To niebawem minie, wkrótce znów stanie się normalna, ale Joel Weatherfield pozostanie tylko wspomnieniem o niewielkim zabarwieniu emocjonalnym, duchem gdzieś w głębi jej umysłu.

Duchem. Czuł się kompletnie zmęczony, pozbawiony wszelkiej siły i woli. Nie należał do tego miejsca, był tylko cieniem, który powinien przemykać gdzieś między gwiazdami, promienie słońca na Ziemi wymazały go niemal zupełnie.

— Do widzenia, Peggy — powiedział. — Zachowaj mój sekret w tajemnicy. Nie pozwól aby ktoś się dowiedział, gdzie jestem. I oby szczęście zawsze kroczyło u twego boku, przez wszystkie twe dni.

— Joel… — zatrzymała się na progu, zmarszczka zdziwienia wykrzywiła jej twarz. — Joel, jeśli ty potrafisz myśleć do mnie w taki sposób, to czy twoi rodacy nie mogą myśleć tak samo do ciebie?

— Oczywiście. I co z tego?

Po raz pierwszy nie wiedział, co się wydarzy, za bardzo ją zmienił, aby móc teraz cokolwiek przewidywać.

— Tak po prostu – po co mieliby zawracać sobie głowę sztuczkami, takimi jak twoje ultrafale do rozmów między sobą? Powinni potrafić przesyłać myśleć pomiędzy gwiazdami.

Zamrugał oczami. Przyszło mu to do głowy, ale nie myślał o tym zbyt wiele, za bardzo był zajęty swoją pracą.

— Do widzenia, Joel.

Odwróciła się i ruszyła przez ociekającą wilgocią, szarą mgiełkę. Pierwszy promień słońca przebił się przez przypadkową szczelinę we mgle i musnął jej włosy. Stał w drzwiach, spoglądając za nią, aż zniknęła.

* * * *

Spał przez większą część dnia. Po obudzeniu zaczął zastanawiać się nad tym, co zostało powiedziane.

Na wszelkie świętości, Peggy miała rację! Zanurzył się zbyt głęboko w czysto technicznych problemach ultrafal, a później w badaniach matematycznych, na których mijał mu czas oczekiwania na odpowiedź, aby się zatrzymać i rozważyć podstawową logikę sytuacji. A więc to, co mu powiedziała – to miało sens.

Miał jedynie bardzo mgliste pojęcie o wrodzonych mocach swego umysłu. Nauki fizyczne oferowały mu zbyt łatwy dostęp do skrywanych przez siebie tajemnic. Nie mógł też, nie mając żadnej pomocy, mieć nadziei na jakiś poważny progres w takich badaniach. Ludzkie zdziczałe dziecko nawet posiadać w głowie dziedzictwo matematycznego geniuszu, ale jeśli nie zostanie odnalezione i wykształcone przez swój gatunek, nigdy nie zrozumie zasad arytmetyki – tak samo jak mowy, zasad społecznych

ani żadnych innych obszarów, które odróżniają człowieka od innych zwierząt. Po prostu istniało zbyt wielkie dziedzictwo rozwoju przedludzkiego i wcześniejszego rozwoju ludzkości, aby jeden człowiek, samodzielnie, był w stanie zrekapitulować je w okresie trwania swego życia, w sytuacji gdy otoczenie nie daje żadnej konkretnej wskazówki na temat ścieżki, którą podążali jego przodkowie.

Ale te nieczynne nerwy i ośrodki mózgowe muszą do czegoś służyć. Podejrzewał, że stanowią one środki bezpośredniej kontroli nad najbardziej fundamentalnymi siłami we wszechświecie. Telepatia, telekineza, prekognicja – jakiego jeszcze boskiego dziedzictwa go pozbawiono?

W każdym bądź razie, wydawało się że jego rasa wykroczyła poza potrzebę stosowania fizycznych mechanizmów. Przy pełnym zrozumieniu struktury kontinuum czasoprzestrzenno-energetycznego, przy kontroli procesów leżących u jego podstaw, z zastosowaniem bezpośredniej woli, mogliby przesyłać siebie lub swoje umysły od gwiazdy do gwiazdy, tworzyć to, czego potrzebowali siłą czystej myśli – i nie zwracać uwagi na bełkot niższych ras.

Fantastyczna, oszałamiająca perspektywa! Stał bez tchu, przed tą wielką, jasną wizją, która roztoczyła się przez jego oczyma.

Zmusił się do powrotu do rzeczywistości. Bezpośrednio stojącym przed nim problemem, był kontakt z jego rasą. Oznaczało to konieczność przestudiowania energii telepatycznych, które dotychczas niemal zupełnie ignorował.

Rzucił się w wir gorączkowej pracy. Czas stał się dla niego czymś zupełnie pozbawionym znaczenia, ciągiem następujących po sobie dni i nocy, okresów zanikającego światła i dryfującego w powietrzu śniegu oraz powolnego powrotu wiosny. Nigdy nie żył zbyt wieloma rzeczami poza swoją pracą, a teraz pochłonęła ona resztki jego myśli. Nawet w okresach odpoczynku i ćwiczeń, do podjęcia których się zmusił, jego umysł wciąż tkwił zagłębiony w badanym problemie, przegryzając się przez niego, jak pies przez kość. I powoli, powoli, jego wiedza rosła.

* * * *

Telepatia nie była bezpośrednio związana z impulsami mózgowymi mierzonymi przez encefalografię. Te ostatnie, były tylko słabiutkimi, krótkotrwałymi produktami ubocznymi aktywności neuronowej. Odpowiednio kontrolowana telepatia przeskakiwała przez przestrzeń którą pokonywała, z aroganckim lekceważeniem dla czasu. Był to, jak zadecydował, inny aspekt tego, co nazwał widmem ultrafalowym, które jako pewien efekt geometrii czasoprzestrzeni powiązane było z grawitacją. Jednak podczas gdy efekty grawitacyjne wytwarzane były poprzez obecność materii, efekty ultrafalowe powstawały w wyniku drgań pewnych pól energetycznych. Nie pojawiały się one jednak, jeżeli nie istniał gdzieś, właściwie dostrojony odbiornik. Wydawały się być one „świadome” słuchacza, zanim jeszcze powstały. To sugerowało fascynujące spekulacje

na temat natury czasu, ale odłożył je na bok. Jego rodacy będą wiedzieli o tych sprawach znacznie więcej, niż on kiedykolwiek będzie w stanie dowiedzieć się sam.

Tylko że koncepcja fal nie miała właściwie zastosowania do czegoś, co przemieszczało się z „nieskończoną szybkością” – semantycznie termin słaby, ale wygodny. Mógłby przypisać ultrafali częstotliwość, taką samą jak generujących ją pól energetycznych, ale wtedy długość fali byłaby nieskończona. Lepiej myśleć o tym w kategoriach tensorów i porzucić wszystkie obrazowe analogie.

Jego układ nerwowy nie zawierał sam w sobie ultraenergii. Była ona wszechobecna, tkwiła w samej strukturze kosmosu. Ale jego ośrodki telepatii, po odpowiednim przeszkoleniu, mogły w jakiś sposób łączyć się z tym ogromnym, fundamentalnym strumieniem, mogły narzucać mu odpowiednie pożądane wibracje. Podobnie, jak przypuszczał, inne ośrodki jego mózgu, potrafiły kontrolować tę siłę, aby tworzyć, niszczyć lub przenosić materię, przekraczać przestrzeń, skanować przeszłość i światy-prawdopodobieństwa przyszłości, aby ...

Nie był w stanie tego zrobić sam. Po prostu nie dałby rady zdobyć wystarczająco dużej wiedzy, nawet przez całe swoje życie. A jeśli, gdyby wręcz był dosłownie nieśmiertelny, mógłby nigdy nie poznać całej wiedzy którą musiał zdobyć; jego umysł został wyszkolony na ludzkich wzorcach myślowych, a to było coś, co wykraczało poza ludzką moc rozumienia.

Ale wszystko, co muszę zrobić, to wysłać tylko jedno wyraźne wezwanie...

Zmagał się z tym problemem. Przez niekończące się zimowe noce siedział w chacie i walczył o opanowanie swojego mózgu. Jak wysłać okrzyk do gwiazd?

Powiedz mi, zdziczałe dziecko, jak rozwiązać równanie różniczkowe cząstkowe?

Być może część odpowiedzi leży w jego własnym umyśle. Mózg posiada dwa rodzaje pamięci: „trwała” i „bieżąca”, i najwyraźniej ten pierwszy rodzaj nigdy nie jest tracony. Może ona wycofać się do podświadomości, ale wciąż tam jest i można ją ponownie wydobyć. Jako dziecko, niemowlę, obserwował przecież różne rzeczy, pamiętał obrazy rozmaitych urządzeń i wrażenia odbieranych wibracji, które jego bardziej dojrzały umysł mógł teraz przeanalizować.

Ćwiczył autohipnozę, używając maszyny, którą wymyślił, aby sobie pomagać, i wspomnienia stopniowo powróciły, wspomnienia ciepła, światła oraz ogromnych, pulsujących sił. Tak – tak, pamiętał jakiś silnik, widział, jak dudni i migocze przed jego oczyma. Minęło trochę czasu, zanim udało mu się przełożyć obce wrażenia niemowlęcia, na swe obecne oceny zmysłowe, ale kiedy praca ta została wreszcie zakończona, miał w głowie wyraźny obraz – czegoś.

To pomogło, odrobinę. Zasugerowało pewne nowe rodzaje powiązań, wzorce empiryczne, które wcześniej nie przyszłyby mu do głowy. I teraz powoli, bardzo powoli, zaczął robić postępy.

Ultrafala dla samego swego istnienia, wymaga odbiorcy. Nie mógł więc wysłać myśli do żadnego ze swych rodaków, dopóki któryś z nich nie

będzie nasłuchiwał na tej konkretnej „fali” – z określonym wzorem częstotliwości, modulacją i innymi fizycznymi charakterystykami. A jego nieprzeszkolony umysł po prostu nie emitował tym „paśmie”. Nie potrafił tego robić, nie umiał sobie wyobrazić przebiegu falowego normalnego dla myśli ludzi ze swojej rasy. Stał przed problemem podobnym do dylematu człowieka w obcym kraju, który aby się porozumieć musi wymyślić zasady miejscowego języka – nie mając nawet możliwości słuchania go, i wiedząc tylko, że jego cechy fonetyczne, gramatyczne i semantyczne są całkowicie odmienne od jego rodzimej mowy.

Niemożliwe do rozwiązania? Nie, może niekoniecznie. Jego umysłowi brakowało mocy do tego by wysłać wezwanie do gwiazd, brakowało mu też zdolności do tego by zostać zrozumianym. Ale maszyny nie mają takich ograniczeń.

Potrafił zmodyfikować swoje ultrafale; miał już wcześniej odpowiednią moc i był w stanie nadać im niezbędną spójność. Mógłby więc wprowadzić do tego całego zagadnienia czynnik losowy: urządzenie, które zmieniałoby podstawowe kształty fal w każdej możliwej permutacji ich właściwości, przechodząc w ciągu sekundy przez miliony lub miliardy prób – a losowa fala mogłaby przecież również zostać zmodulowana, był w stanie nałożyć na nią swoje własne myśli. Za każdym razem kiedy maszyna znajdzie rezonans z czymkolwiek co mogłoby odebrać sygnał – cokolwiek, dosłownie, na przestrzeni milionów lat świetlnych – powstanie odpowiednia ultrafala, a losowy element zostanie wytłumiony. Joel mógł wtedy pozostać na znalezionym paśmie, badając je przez cały czas jaki miał do dyspozycji.

Prędzej czy później, jedno z pasm na które trafi, będzie pasmem jego rasy. I on o tym wiedział.

* * * *

Urządzenie, kiedy je wreszcie ukończył, wyglądało topornie i brzydko, tworzyło je wielkie niezgrabne kłębowisko splątanych drutów, lśniących rur i wirujących kosmicznych energii. Jeden z wychodzących z niego przewodów, łączył się z metalową opaską wokół jego głowy, umożliwiał mu narzucenie własnego podstawowego wzoru ultrafali na czynnik losowy i przenosił z powrotem wszystko, co powinien odebrać jego mózg. Joel położył się na łóżku, trzymając koło siebie panel sterowania, i uruchomił maszynę.

Niewyraźne mamrotania, prześlizgujące się cienie, obcość wyłaniająca się z zakurzonych głębin jego umysłu... Uśmiechnął się niewyraźnie, walcząc z zimną obawą która pojawiła się w jego wytężonych, napiętych nerwach, i zaczął eksperymentować z maszyną. Sam nie był do końca pewny wszystkich jej właściwości, i minęło trochę czasu, zanim uzyskał pełną kontrolę nad swoim wzorcem myślowym.

Cisza, ciemność, a potem przelotny przebłysk, krótka oślepiająca chwila, gdy przypadkowe poszukiwania trafiły na jakiś fundamentalny rezonans, powstała nagle fala i przemówiła do jego mózgu. W pewnej

chwili spoglądał przez oczy Margaret, na twarz Langtree'ego po drugiej stronie stołu. Widać było blask świec, jak sobie potem przypomniał, a w tle grała nieduża orkiestra smyczkowa. Innym razem zobaczył postrzępione zarysy miasta, niezbudowanego ręką ludzką, wznoszące się ku zachmurzonemu niebu, podczas gdy dziwnie wolno falujące i ciężkie morze ścieliło się ku jego bramom.

Jeszcze kolejnym razem złapał myśl śmigającą pomiędzy gwiazdami. Nie była to jednak myśl jego gatunku, był to potężny biały płomień niczym słońce eksplodujący w jego głowie, i zimny… zimny. Krzyknął głośno i potem przez cały tydzień nie odważył się wznowić eksperymentów.

Pewnego wiosennego wieczora, dostał w końcu odpowiedź.

Za pierwszym razem szok był tak ogromny, że stracił kontakt. Leżał cały roztrzęsiony, zmuszając się do spokoju, próbując odtworzyć dokładny wzór, który wysyłał jego mózg, a także maszyna. Spokojnie, spokojnie… to umysł dziecka dryfujący we mgle snów, a więc…

Dziecko. Jego zamglony, niekontrolowany mózg nie potrafił wejść w rezonans z żadnym z doskonale wyszkolonych dorosłych umysłów jego rodaków.

Ale dziecko nie zna języka mówionego. Jego umysł przesuwa się amorficznie z jednego wzorca na drugi, nie ma jeszcze nawyków, które by to naprawiły, a dany język jest równie dobry jak każdy inny. Dzięki działaniu praw losowości, Joel trafił na wzorzec który w tej właśnie chwili wysyłało jakieś niemowlę z jego rasy.

Odnalazł go ponownie, a mrowiące ciepło kontaktu zalało go całego, cudowne, wspaniałe, jak rzeka na piaszczystej pustyni, jak słońce ogrzewające chłód solipsystycznej samotności, w której ludzie wędrowali od narodzin do kresu swego krótkiego pozbawionego znaczenia życia. Dopasował swój umysł do myśli dziecka, pozwolił aby oba strumienie świadomości zlały się w jeden, w rzekę płynącą w kierunku potężnego morza jego rasy.

Zdziczałe dziecko wyłoniło się z głębin lasu. Wilki wyły za jego plecami, owłosieni czworonożni bracia od jaskini, pościgu i ciemności, ale już ich nie słyszał. Pochylił się nad kołyską niemowlęcia, splątane włosy spływały wzdłuż jego chudej, bezrozumnej twarzy, i popatrzył na nie z lekkim wzruszeniem podziwu i zdumienia. Dziecko wyciągnęło dłoń, drobniutką mięciutką rączkę, a jego własne sękate palce skierowały się się ku niej, drżąc na widok, że ta dłoń jest taka sama, jak jego.

Teraz musiał już tylko czekać, aż jakiś dorosły zajrzy w umysł dziecka. Nie powinno potrwać długo, a tymczasem odpoczywał w bezczasowym sennym spokoju niemowląt.

Gdzieś w dalekim kosmosie, być może na planecie krążącej wokół słońca, którego żaden człowiek z Ziemi nigdy nie zobaczy na oczy, dziecko spoczywało w kołysce ciepłych, pulsujących sił. Nie widział wokół siebie żadnego pomieszczenia, były tylko cienie, których żaden człowiek nie był w stanie pojąć, rozświetlone błyskami energii, tworzącej gwiazdy.

Dziecko wyczuwało zbliżanie się czegoś, co oznaczało ciepło, miękkość, słodycz w ustach i szemranie w myślach. Gaworzyło z zachwytu,

wyciągając ręce w drżący mrok pokoju. Umysł jego matki przybiegł przed nią są, rozkładając się wokół malucha.

Krzyk!

Gorączkowo Joel sięgnął do jej umysłu, błyskając bez przerwy wzorem impulsów lokalizujących, przebijając się przez mózg dziecka do jej myśli. Stracił ją, jego umysł obrzydliwie zapadł się na siebie samego – nie, nie, to ktoś inny sięgał teraz w jego stronę, analizując strukturę maszyny, jego szaleńcze oscylacje, oraz gładko dopasowując się do ich wzorca.

Głęboki, silny głos w jego umyśle, niewątpliwie męski – Joel rozluźnił się, pozwalając temu drugiemu umysłowi kontrolować swoje myśli, po prostu emitując tylko przez cały czas przygotowane wcześniej sygnały.

Przeanalizowanie sensu jego wezwania, zajmie im trochę czasu. Joel leżał w stanie półświadomości, zdając sobie sprawę że kontakt utrzymuje z nim tylko pewna niewielka część umysłu istoty, podczas gdy reszta sięgała na zewnątrz, wzywając innych z całego wszechświata, wołając o pomoc i informację.

A więc wygrał. Joel pomyślał o Ziemi z rozmarzeniem i jakoś tęsknie. Dziwne, że w tej chwili triumfu jego umysł zaczął się rozwodzić nad drobnymi rzeczami, które pozostawiał za sobą – zachodem słońca w Arizonie, śpiewem słowika w księżycową noc, zarumienioną twarzą Peggy nachyloną nad jakimś przyrządem blisko jego twarzy. Piwem, muzyką i poskręcanymi sosnami.

Ale to moi rodacy! Nigdy więcej już nie być samotnym... Decyzja. Wrażenie spadania, mknięcia przez wiru gwiazd w kierunku Sol – zbliżają się!

Istota musiała zlokalizować go na Ziemi. Joel usiłował wyobrazić sobie mapę, choć wzorzec myślowy odpowiadający w jego mózgu konkretnej wizualizacji nie miałby sensu dla tego drugiego. Ale w jakiś niejasny dla niego sposób, mogło to pomóc.

Może tak też i było. Nagle pasmo telepatyczne pękło, ale nastąpił przypływ innych impulsów, sił życiowych jak płomień, wrażenia bliskości boga. Joel ciężko dysząc i potykając się, podniósł się na nogi i otworzył drzwi chaty.

* * * *

Księżyc wznosił się ponad ciemnymi wzgórzami, mglistym światłem zalewając drzewa, spłachcie śniegu i mokrej ziemi. Powietrze było chłodne i wilgotne, ostro drapało w płuca.

Istota, która tam stała, otoczona blaskiem swoich szat, była wyższa od Joela, był to dorosły. Jego poważne oczy świeciły zbyt jasno, aby można było w nie spojrzeć, tak jakby samo życie w jego wnętrzu, jaśniało światłem. A kiedy pełna siła umysłu obcego popłynęła z niego, otoczyła Joela, wlewając się w jego wnętrze, przebiegając wzdłuż każdego nerwu i każdej jego komórki…

Krzyknął z bólu i upadł na czworaka. Nieznośna siła zelżała, zmieniając się w szum w mózgu, który wstrząsał każdym jego włóknem nerwowym.

Badano go, analizowano, żadna najmniejsza nawet jego cząstka nie była w stanie się ukryć przed tymi strasznymi oczami i logiką, która odtworzyła więcej „niego”, niż on sam był w stanie zrobić. Jego zniekształcony język telepatyczny natychmiast stał się zrozumiały dla obserwatora i mógł wykrzyczeć swój apel o pomoc.

Odpowiedź przepełniona była litością, ale równie ostateczna i nieubłagana jak gromy na Olimpie.

Dziecko, jest już za późno. Twoja matka musiała zostać pochwycona przez wir - ? – energii oraz wyrzucona - ? - na Ziemię, a ty zostałeś wychowany przez zwierzęta.

Pomyśl, dziecko. Pomyśl o zdziczałych dzieciach tej rodzimej rasy. Czy kiedy zostały przywrócone do swego własnego rodzaju, stały się ludźmi? Nie, było już za późno. Podstawowe cechy osobowości determinowane są w pierwszych latach dzieciństwa, a ich specyficznie ludzkie, jako niewykorzystywane, uległy atrofii.

Za późno, za późno. Twój umysł za bardzo zakorzenił się w sztywnych i ograniczonych wzorcach. Twoje ciało dokonało innych procesów przystosowawczych niż te niezbędne do wyczuwania i kontrolowania sił, których my używamy. Potrzebujesz nawet maszyny do tego by mówić.

Nie należysz już do naszej rasy.

Joel leżał skulony na ziemi, drżąc, nie myśląc ani nie śmiejąc myśleć.

Kolejne grzmoty przetaczały się przez jego głowę: *Nie możemy pozwolić, abyś przeszkadzał w prawidłowym szkoleniu umysłowym naszych dzieci. A ponieważ nigdy nie będziesz mógł dołączyć do swojej rasy, musisz dostosować się do rasy, z którą żyjesz. Najlepszą i najmądrzejszą rzeczą jaką możemy zrobić, będzie więc wprowadzenie pewnych zmian. Twoje wspomnienia i pamięć innych, twoje ciało, praca, którą wykonujesz i wykonywałeś wcześniej...*

Pojawili się także i inni, zapełniając noc, bogowie którzy zstąpili na Ziemię, świecące i straszliwe istoty, które wzięły pod uwagę każdy skrawek doświadczenia, jaki kiedykolwiek się z nim wiązał i wydały wyrok na jego temat. Ciemność zamknęła się nad nim i zapadł bez końca w zapomnienie.

* * * *

Obudził się w swoim łóżku, zastanawiając się, dlaczego jest taki zmęczony.

No cóż, badania nad promieniowaniem kosmicznym były ciężkim i samotnym kawałkiem chleba. Dzięki niebu i jego szczęśliwym gwiazdom, to już koniec! Teraz czas na zasłużone wakacje w domu. Dobrze będzie znowu zobaczyć przyjaciół – no i Peggy.

Dr Joel Weatherfield, wybitny młody fizyk, wstał radośnie z łóżka i zaczął przygotowywać się do powrotu do domu.

KONIEC